

## Rozdział Prolog – Przychodzą prawie tak szybko jak śmierć.

Była noc gdy do drzwi Andersona, byłego żołnierza wojsk specjalnych, ktoś zapukał. Gość pukał dość długo, gdyż mężczyzna, nie tak sprawny jak kiedyś, podniósł się z łóżka i doczłapał do drzwi. Trudność sprawiała mu bardziej ciemność niż niedowład nóg. Przeklinał swój gdy coraz bardziej podupadał na zdrowiu i sam nie mógł sobie we wszystkim radzić, w takich momentach pomagał mu syn, który nie żyje już pół roku. Okoliczności jego śmierci, o dziwo, wciąż nie zostały potwierdzone, ale wiadomo, że zginął w walce. Wreszcie gdy doszedł do drzwi, nie raz przeklinając objając się o różne przedmioty, otworzył. Otworzył i co bardzo dziwne nie spotkał w swoim progu jakiegoś żartownisia, który postanowił zrobić kawał, a takich tu było sporo, tylko 5 mężczyzn ubranych w całkowicie czarne garnitury, reszta ich ubioru była w wyżej wymienionym kolorze. Wyglądali jak ci typowi gangsterzy z włoskich filmów, tylko, że mówili po rosyjsku, a w rękach trzymali Glocki – 17, a nie Thompsony. Nie zdążył zareagować, gdy jeden z nich, najprawdopodobniej ten po prawej, uderzył go w brzuch. Potem to już kwestia czasu gdy kolejny z nich go zakneblował, a następny założył na głowę szmatę, ogłuszyli i Bóg jeden wie co jeszcze zrobili. Widać, że byli profesjonalistami.

## Rozdział 1 - „Mógłbyś zabrać mi tę lampę sprzed twarzy?”

Obudził się w jakimś składziku, przynajmniej tak to wyglądało. Wszędzie leżały jakieś puszki, często otwarte, jakaś miotła, mop, kubeł z zimną wodą, stół z krzesłem i Andersonem przywiązany do niego... To chyba nie tak powinno wyglądać. Mężczyzna szybko przekonał się, że te przedmioty nie służyły woźnemu do sprzątania budynku, a gdy przywiązano mu do pleców miotłę, która okazała się całkiem twardym metalem, tak aby ten stał wyprostowany jak słup. Kaci chyba nie przewidzieli, że porwali kogoś kto nie potrafi stać bez pomocy. Słyszał doskonale wszystkie słowa. Widać, że nie kryli się ze swoją misją, albo wiedzieli, że nie zna Rosyjskiego... Ledwo żywy leżał na zimnej posadce, która nie dawała mu zasnąć. A oni oczywiście musieli się upewnić, że nie zaśnie i co jakiś czas oblewali go wodą i razili paralizatorem.

- Chorąży Anderson... Czy się pomyliłem i mamy tu złego człowieka? - Powiedział jeden z oprawców, ze słyszalnym Rosyjskim akcentem, jednak ten nie odpowiedział. - Proszę się nie wstydzić i mówić, bo Panu pomożemy.

- A z kim mam przyjemność rozmawiać?

- Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie, to moja ostatnia grzeczna porada. - Widać, że mówił prawdę.

- Zgadza się, to ja. - Nie wiadomo, czy bardziej przemówił do niego AKM przystawiony do kręgosłupa, czy miły dla ucha głos, a może obydwa...

- Nie można było tak od razu? Więc tak... Chorąży Henry Anderson, urodzony 18 maja 1994 roku w Bostonie. Rodzina... Matka nie żyje, zmarła ze starości, ojciec nie żyje, zmarł na raka trzustki i syn nie żyje, okoliczność śmierci nieznaną. Uhuu, mam nadzieję, że nie dołączy do nich pan zbyt szybko, jesteś dla nas skarbnicą wiedzy! A o skarb trzeba dbać! Tak! Dbać, czyścić go, pielęgnować itd. itp. Nie będę tego przedłużał.

- Cze...

- Tak, tak „Czego chcecie?“, czemu nikt nie spyta „Jak tam życie?“ albo „Jak w pracy?“ tylko zawsze to „Czego chcecie?“, jesteście już nudni, zero kreatywności. Oh, przepraszam, nie przedstawiłem się. Witold Seravejko, od dziś jesteśmy zdani tylko na siebie, tę lampę i słowa. - Powiedział przystawiając mu pod sam nos zapaloną latarkę.

- Mógłbyś zabrać mi tę lampę sprzed twarzy?

- Primo – to nie lampa, Secundo – nie, nie mógłbym.

- Powiesz mi wreszcie czego ode mnie chcecie?

- Spokojnie, wszystko w swoim czasie. Najpierw usiądziemy, zjesz coś, napijesz się, zmienisz ubrania... Bądźmy cywilizowani, to nie przesłuchanie CIA sprzed 40 lat. - Rzekł jakże charyzmatycznym głosem, widać i słyszać było, że miał gadane. - Panowie, rozwiążcie go i postawcie na krześle. Tylko ostrożnie, żeby mu głos z głowy nie spadł bo zatłukę własnymi rękami.

A ci wykonali rozkaz jakby byli pod jego mocą, jak w transie. Powiedział to do nich po Angielsku, więc oni też musieli go znać. Henry zaśmiał się w myślach, że jego Rosyjscy porywacze znają Angielski, choć tak bardzo nim gardzą.

- Co chcesz jeść? Może coś pić? Wybierz mądrze, to może być twój ostatni posiłek!

- Szklanę wody.

- Na pewno? Drugiej szansy nie dostaniesz.

- Szklanę wody.

- Gazowana? Niegazowana? A jak już gazowana to lekko, czy mocno?

- Zwykłą niegazowaną wodę. - Słysząc było irytację w jego głosie.

- Spokojnie, spokojnie, już się robi wielmożny panie. - Następnie jednym ruchem ręki wysłał jednego z ludzi po wyżej wymieniony napój, a on przyniósł go po 20 sekundach. - I co się mówi?

Nic nie odpowiedział.

- Języka ci odebrało? Mówię do ciebie! - Dalej nic nie odpowiadał, a Witold wyciągnął paczkę zapalek. - Mam cię nauczyć mówić?

- Nie trzeba, dziękuję za wodę. - Henry doskonale wiedział, że jego głos był mu potrzebny, więc o podpalaniu języka za pomocą całej paczki zapalek naraz nie było mowy, a wtedy pozostawała tylko jedna opcja...

- I widzisz jak jest miło kiedy zaczynasz współpracować?

- Powiesz mi wreszcie czego chcecie?

- Oczywiście, kiedyś trzeba. Zaczniemy od tego... - Nie udało mu się dokończyć zdania, gdyż o zewnętrzną ścianę budynku, tuż obok okna, uderzył Koktajl Mołotowa.

- Jankesi! - ryknął jeden z ludzi przesłuchującego spoglądając przez okno. - Jakież 18 osób, nie więcej jak 20. Kosić ich?

- A tylko spróbuj to dowództwo nas zabije! Ani się waż do nich strzelać bo Ci nogi z dupy powyrywam i skopię nimi ryj! Zabierać naszego koleżkę i do samochodu. - Witold od razu wstał zapinając marynarkę, dzięki czemu zasłaniała ona jego kamizelkę kuloodporną.

Wtedy do pokoju zaczęły wlatywać pierwsze kamienie, a jeden z żołnierzy rozpoczął rozlewanie benzyny w pomieszczeniu. Henry pomyślał, że gdyby nie niedowład nóg mógłby stąd uciec w tej chwili, ale to tylko złudne marzenie. Sekunda po sekundzie krzyki wypełniały pokój, wypełniał go też zapach benzyny, która nieuniknięcie dążyła do zapalenia. Jeden z ludzi już wynosił mężczyznę z pokoju, Witold zbiegał po schodach, inny dalej rozlewał benzynę. Słychać było jak uderzenie pustego kanistra o podłogę i stukot ciężkich wojskowych buciorów. Potem to już kwestia czasu jak ktoś rzucił kolejny Koktajl Mołotowa, tym razem trafiając i pogrążając pokój w ogniu.

- Chyba nas wyręczyli. - Na szybko rzucił jeden z żołnierzy Saravejki.

Więcej Anderson nie usłyszał – ogłuszyli go. Potem wsadzili do jakiegoś srebrnego sedana, najpewniej bez tablic rejestracyjnych.